289

Kultura i Życie

Lubię Szaniawskiego...

PRZYGOTOWANIA do jubileuszu 50-lecia pracy artystycznej Zofii Modrzewskiej są w tej chwili w pełnym toku. Oczywiście najważniejszym „punktem programu" uroczystości jest reżyserowane przez Jubilatkę przedstawienie. Zofia Modrzewska wybrała na tę okazję sztukę Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy", której premierę wyznaczono na 17 czerwca. W tym też dniu odbędą się jubileuszowe fety z udziałem przeróżnych znakomitości świata artystycznego. Jubilatka bowiem utrzymuje żywe, przyjazne kontakty z wieloma dzisiejszymi luminarzami naszej kultury i sztuki, z którymi ongiś stawiała pierwsze kroki na drodze do twórczych sukcesów. Ma też mnóstwo nowych, młodych przyjaciół, przeważnie jej wychowanków, których wtajemniczała w arkana sztuki aktorskiej już to w szkołach teatralnych Łodzi i Lublina, gdzie była pedagogiem, już to po prostu w teatrze podczas pracy nad realizacją konkretnej sztuki. Te stare i nowe przyjaźnie zrodzone podczas twórczej pracy ceni sobie Zofia Modrzewska jednakowo. Jedne, jako złączone ze wspomnieniem najszczęśliwszego okresu życia — młodości, inne, że są nie tylko wspomnieniem, lecz współczesnością, życiem.

— Do jakiego okresu życia wraca Pani we wspomnieniach najchętniej?

— Chyba wszyscy najczęściej wspominamy dzieciństwo, jeżeli było szczęśliwe, i młodość (bez względu na to jaka była). A u mnie tak się złożyło, że oba te okresy miałam wyjątkowo pomyślne. „Ciche, złote, jasne dni" dzieciństwa i radosną, dynamiczną, twórczą młodość.

— Pani pierwsze kontakty z teatrem?

— W Krakowie, pod okiem Solskiego i Stanisława Stanisławskiego. Ale za swój oficjalny debiut jako ukształtowanej już aktorki uważam warszawski sezon 1917/18 na scenie Teatru Polskiego w dwóch następujących po sobie w krótkich odstępach czasu rolach Elizy w „Skąpcu" i Marii w „Wieczorze Trzech Króli".

— Czy jako aktorka interesowała się pani reżyserią czy też raczej zostawiała pani tę domenę swemu mężowi — Leonowi Schillerowi?

— Lulek był człowiekiem o zdolnościach powiedziałabym wszechstronnych. Wspaniała, bujna natura. Swobodnie się poruszał w każdej dziedzinie twórczości. Do Warszawy został zaangażowany przez Solskiego (który w sezonie 1917/18 objął dyrekcję Teatru Polskiego) jako kierownik literacki i muzyczny.

— Istotnie, taka symbioza specjalności występuje raczej rzadko...

— Muzykę do „Wieczoru trzech króli", w którym debiutowałam skomponował właśnie Schiller. W tym samym zresztą sezonie opracował inscenizacyjnie, muzycznie i reżysersko komedię improwizowaną pt. „Miłość i loteria". Zaraz w następnym roku (już za ponownej dyrekcji Szyfmana) Schiller wystawił swoją „Szopkę staropolską".

— Przeglądając zestawienia repertuarowe teatrów warszawskich Polskiego i Małego w latach 1917—32 b. często znajduję pani nazwisko w obsadzie. Naliczyłam, że grała pani w tym czasie w 59 premierach, biorąc udział w 1943 spektaklach. Czy ta nazbyt może intensywna eksploatacja pani talentu aktorskiego spowodowała zwrot w zainteresowaniach — tj. przejście od aktorstwa do reżyserii?

— Widzę, że nie odpowiedziałam na wcześniejsze pytanie na ten sam temat. Zagadałam się jakoś o Schillerze i zapomniałem. No więc — oczywiście spotkanie z takim człowiekiem jak Leon Schiller, a cóż dopiero — dzielenie z nim życia — na pewno nie mogło pozostać bez śladu na moich zainteresowaniach. Ale przejście moje z aktorstwa na reżyserię dokonało się raczej pod wpływem przypadku. Po prostu — spotkałam kiedyś koleżankę Morozowicz-Szczepkowską, aktorkę sztuki „Sprawa Moniki". Zwierzyła mi się z kłopotów związanych z wystawieniem swego utworu na scenie. Jakoś żaden z renomowanych reżyserów i teatrów nie chciał się podjąć pracy nad jej realizacją. Postanowiłam jej pomóc, wyreżyserowałam „Sprawę Moniki" w „Reducie" Osterwy. Od razu duży sukces.

— I tak rozpoczął się nowy etap w pani artystycznej karierze. Pierwszy — aktorski trwał lat 15, a reżyserski — trzydzieści pięć. Z tego 35-lecia prawie dwadzieścia lat przypada chyba na Lublin...

— Pierwszą moją pracą w teatrze lubelskim była reżyseria sztuki „Pan inspektor przyszedł" Priestleya w sezonie 1947/1948. Byłam wtedy wykładowcą i reżyserem PWST w Łodzi. Do Lublina zostałam zaproszona do gościnnej reżyserii tej jednej sztuki Nie przypuszczałam, że zostanę w lubelskim teatrze na długie lata. W następnym roku objęłam stanowisko głównego reżysera, a w sezonie 1949/50 — kierownika artystycznego. Nigdy nie zapomnę ówczesnego dyrektora Maksymiliana Chmielarczyka, tej prawdziwie twórczej atmosfery, jaką potrafił stworzyć w teatrze. Nie przypadkiem chyba na czas jego właśnie dyrekcji przypadają największe sukcesy lubelskiej sceny. Bo dla każdego człowieka sztuki sprawa klimatu, w jakim pracuje jest zagadnieniem pierwszej wagi. Atmosfera decyduje o życiu i śmierci artysty. Dosłownie. Bez metafory.

— W Lublinie miała pani dużo pięknych sukcesów. Publiczność nasza pomięta doskonale pani spektakle od wspomnianego „Pana inspektora" począwszy. Także świetne „Lato w Nohant" (z sezonu 1949/50), interesujący spektakl „Niemców", znakomitą „Balladynę", „Śluby panieńskie", „Wielką grę", „Nie igra się z miłością" i inne nowsze, już po warszawsko-olsztyńskim kilkuletnim antrakcie...

— Ostatnią moją większą pracą było „Wesele" w sezonie 1964—1965.

— Czy „Kowal, pieniądze i gwiazdy" dostarczają pani pełni satysfakcji w czasie pracy?

— Lubię Szaniawskiego. To mądry autor. Odpowiada mi poetyka i filozofia jego sztuk. Ale grać go nie łatwo. Wszystkie jego postaci są złożone, wielopłaszczyznowe. Praca nad nim wymaga czasu. A tu termin premiery się zbliża, prób niewiele. Jestem więc pełna niepokoju...

— Ale to jest na pewno zwykła przedpremierowa trema.. A ta, jak wiadomo sprzyja powodzeniu....

Rozmawiała: **Wiera Korneluk**